

Zdaniem adwokata

Wyrok Trybunału w Strasbourgu w sprawie niezrealizowanych do chwili obecnej zobowiązań państwa wobec przesiedleńców z za Buga - natchnął wielu z nich nadzieją, że otrzymają wreszcie odszkodowanie za pozostawione w ZSRR mienie. Sprawa ta jest jednak bardzo skomplikowana. Po pierwsze nie zawsze jest wiadomo, czy dany przesiedleńca otrzymał już kiedyś taką rekompensatę, po drugie: czy dokumenty, którymi się okazują są wiarygodne, a po trzecie: czy państwo polskie stać na wypłatę odszkodowań?

Od zakończenia wojny upłynęło już prawie sześćdziesiąt lat i pokolenie przesiedleńców, które pozbawione zostało swojej własności, właściwie już odeszło. Nawet ówczesni nastolatki zbliżają się do osiemdziesiątki. Ponadto przy istniejącym bałaganie trudno jest ustalić, który z przesiedleńców otrzymał rekompensatę, a który nie? Dzisiaj wiek emerytalny osiągają już ich spadkobiercy, którzy niewiele pamiętają z lat 1944-1945, a w przekazach domowych najędźniejsza, pozostawiona na Polesiu chałupina, jawi się niczym szlachecki dwór. Także dokumenty, na które przesiedleńcy się powołują, nie zawsze są wiarygodne. Jeden z zainteresowanych przedstawił np. papiery, z których wynika, że pozostawił w ZSRR majątek odpowiadający co najmniej włościom księcia Jaremy Wiśniowieckiego na lewobrzeżnej, prawobrzeżnej i południowej Ukrainie, z działką na Świętym Krzyżu włącznie.

Repatrianci mają prawo do odszkodowania, ale powstaje pytanie: kto miałby je wypłacić? Oczywiście, że Rzeczpospolita, ale Rzeczpospolita to my wszyscy. Wielu ludzi powołuje się na utraczone na wschodzie majątki. I urzędy, i historia zna już takie przypadki. Po rewolucji bolszewickiej niemal każdy emigrant rosyjski w Paryżu: czy to portier, czy szofer przedstawiał się, że jest księciem lub przynajmniej byłym carskim generałem. Inna rzecz, że majątkiem się zwykle nie chwaliłi, bo Francja nie wypłacała rekompensat, no i można było nie otrzymać napiwku.

Jak wyglądała akcja przesiedleńcza? Przeciętny mieszkaniec naszego kraju zna ją ze znakomitej komedii „Sami swoi”, z charakterystyczną kwestią Zabużanina Pawłaka, który na argument szabrownika, że „my z Warszawy więcej przeszliśmy”, odpowiada - „a my więcej przejechali” - co rzeczywiście było prawdą, bo transporty z jadącymi w nieznanne przesiedleńcami z za Buga wlokły się tygodniami, zmieniając nieraz po drodze miejsce przeznaczenia.

W założeniu przesiedleńcy mieli otrzymać rekompensatę na ziemiach odzyskanych, a było tam sporo do wzięcia i nie na darmo niektórzy patrioci tych ziem do dziś nazywają je nie tyle ziemiami odzyskanymi, co wyzyskanymi, tj. ogołocnymi przez szabrowników i Armię Czerwoną. Jak wyglądały ziemie odzyskane w 1945 r. wiemy z pięknej, reklamującej obecnie, o zgrozo, piwo - piosenki „Nim wstanie dzień” z filmu „Prawo i pięść”. Ech, co to był za film! Łza się w oku kręci: Do wyludnionego, opuszczonego przez Niemców miasta (zdjęcia nakręcono w Toruniu i Ciechocinku) przyjeżdża dzielną Gustaw Holoubek, by przeciwstawić się szabrownikom. Film ten wszedł już do zbiorowej świadomości narodu, tak jak „Czterej pancerni” oraz „Stawka większa niż życie” i z prawdą historyczną ma tyle wspólnego, co i wspomniane wyżej dzieła. Rzecz w tym, że obrońców słusznej sprawy było niewiele, a szabrem i rabunkami zajmowała się nawet milicja i urząd bezpieczeństwa. Szczytem możliwości szabrowników była dewastacja kościoła mariackiego w Gdańsku, w którym porozbijano wszystkie groby oraz powyciągano i okradziono nieboszczyków, bez względu na stulecie, w którym zostali pochowani.

Atmosfera ta nie sprzyjała akcji osiedleńczej i zrekompensowaniu przesiedleńcom z za Buga pozostawionego przez nich na wschodzie dorobku pokoleń. Nad akcją przesiedleńczą zaciążyły nadto względy ideologiczne i niewiara w trwałość granicy na Odrze i Nysie. Nie wszyscy przesiedleńcy wykazali się bowiem wytrzymałością babci Pawłakowej, której na nowym miejscu przeskadzała jedynie „elektryka” i brak pieca do spania. Niektórzy pobyt na ziemiach zachodnich traktowali jako

tymczasowy. Bez żalu palili w piecach stylowymi meblami, bo ponemieckie. Z „Samych swoich” wiemy, że wtedy nawet kot nie mógł być ponemiecki. Nic więc dziwnego, że Witia Pawlak na kupno tego zwierzęcia zgodził się dopiero wówczas, gdy otrzymał zapewnienie że kot jest polski i „z miasta Łodzi pochodzi”.

Znaczna część przesiedleńców nigdy nie otrzymała rekompensaty, ale niektórzy otrzymywali ją kilkakrotnie. A to młyn nad Łyną, a to gospodarstwo rolne w sąsiednim powiecie, a to masarnię w Pasłęku. Oczywiście nie wszyscy byli nieuczciwi, ale przekręty takie się zdarzały, chociaż i tak nie na wiele się zdały, bo potem władze komunistyczne odebrały przyznane wcześniej młyny i zakłady produkcyjne, a do domów i mieszkań przyznanych repatriantom dokwaterowały lokatorów. Najbardziej stabilni okazali się rolnicy, ale i tych często zapędzać do spółdzielni produkcyjnych, a status prawny przyznanych im w ramach rekompensaty gospodarstw rolnych jest z reguły nieuregulowany, bo użytkowanie wieczyste to jednak nie to samo co własność.

Przesiedleńcy otrzymywali rekompensatę nie tylko na ziemiach odzyskanych, ale także i na terenach II Rzeczypospolitej, gdzie na mocy dekretu o majątkach opuszczonych i ponemieckich państwo przejęło wiele nieruchomości i gruntów rolnych. I tak np. w okolicach Ciechocinka, we wsiach zamieszakanych od XVII wieku przez kolonistów niemieckich, tj. na Słońsku Górnym, Słońsku Dolnym, w Nowym Ciechocinku i jeszcze w paru innych, osiedlano repatriantów z byłego ZSRR. Przez lata mieliśmy więc w Ciechocinku prawdziwych „Kujowioków”, no i „Zabużaninów”, ale kto teraz o tym pamięta?

Dzisiaj pełna rekompensata za pozostawione w ZSRR mienie nie jest już możliwa, ale możliwe jest przynajmniej symboliczne naprawienie Zabużanom wyrządzonej im przez historię krzywdy. Czas ku temu najwyższy, żeby sejm znalazł czas na załatwienie tej sprawy, która ma być uregulowana w ustawie prywatyzacyjnej, ale kiedy to nastąpi? Zobaczmy.

David Binemann-Zdanowicz